

Instytucjonalny obrońca pokrzywdzonych, czyli Józefa Mackiewicza przygody z reportażem, część 1

Z publicystycznych tekstów Józefa Mackiewicza, publikowanych w okresie międzywojennym na łamach wileńskiego „Słowa”, wyłania się obraz człowieka niezwykle wrażliwego na ludzką krzywdę. Był bowiem Mackiewicz dziennikarzem uczulonym na wszelkie przejawy łamania prawa przez państwową administrację. Dzięki temu określono go – zaszczytnym, choć jedynie honorowym – tytułem „instytucjonalnego obrońcy pokrzywdzonych”.

I. Po drogach i bezdrożach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego (reportaże z lat 1928-1939)

Począwszy od 1928 roku Józef Mackiewicz coraz częściej zamieszczał w „Słowie” reportaże poświęcone dawnemu Wielkiemu Księstwu Litewskiemu. Uważał je za swoją prawdziwą ojczyznę duchową, starał się więc poznać je od podszewki – wciąż znajdował się w drodze, podróżował, obserwował ludzi, podglądał przyrodę, pod powierzchnią bezdusznych administracyjnych podziałów dostrzegał zagubioną gdzieś i zapomnianą przez współczesnych legendę Wielkiego Księstwa. Te teksty – pisane piękną, niezwykle barwną i obrazową polszczyzną, urzekające mistrzowskimi wprost obserwacjami i opisami życia przyrody – do dziś pozostają żywe. Mackiewicz zwracał uwagę na najdrobniejsze szczegóły, które postronnemu obserwatorowi wydawałyby się pozbawione znaczenia lub po prostu umknęłyby w powodzi innych rzeczy. W jego reportażach odzwierciedlało się podskórne, prawdziwe – pozbawione propagandowego blasku i lukru – życie Wileńszczyzny. Bieda, nędza i nieszczęście białoruskich chłopów i kontrastujące z ich niedolą piękno natury – wszystko to podane jest bez ubarwień. Czytając, wierzymy, że wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to Mackiewicz opisał.

Zajmował się wieloma tematami. W jednym reportażu potrafił zmieścić dziesiątki spraw, problemów, choć zdarzało mu się napisać także coś „lżejszego”. Chociażby o stanie dróg na Wileńszczyźnie. W październiku 1928 roku dziennikarz wybrał się samochodem (wraz z fotoreporterem „Słowa”) w objazd – na Lidzki Trakt. Nie krył, że drogi są w fatalnym stanie, nigdzie nie ma asfaltu, a wiosną i jesienią – gdy nadchodzi czas roztopów i deszczów – robi się bagno i najczęściej są one nieprzejezdne. Innym znów razem wybrał się w podróż na północ kraju. W Woropajewie odwiedził hrabiego Konstantego Przeździeckiego, rozmawiał na temat mającej powstać w tym miasteczku ważnej stacji węzłowej na linii Podbrodzie-Królewszczyzna, wspominał o dyplomatach zachodnich, akredytowanych w Warszawie, którzy w te lasy przybywają na polowania, wzmiankował o uruchamianej wkrótce w Hołbieju (niedaleko Woropajewa) – ponoć największej w Polsce! – hucie szkła. Następnie ruszył trasą planowanej kolei w kierunku Podbrodzia i tak dotarł do Szarkowszczyzny, która, jak uważał, miała szansę stać się w przyszłości największym w tych stronach punktem handlowym i rynkiem Iniańskim. Rozmawiał z chłopami, wypytywał ich o Hromadę¹), o stosunek do rządu

polskiego i policji. Chłopi, co Mackiewicz przyjmował z zadowoleniem, nie skarżyli się, cieszyli się jedynie, że policja nie jest biurokratyzowana i dzięki temu może sprawnie działać ([...] teraz nie tak jak za ruskim. Kradzieże ustały prawie zupełnie).

Interesował się Mackiewicz w czasie podróży także stosunkiem innowierców do rządu. Najbardziej zadowoleni wydali mu się starowiercy, prawosławni natomiast jego zdaniem ciągle się wahają, co w dużym stopniu zależy od nastawienia miejscowego popa. Dziennikarz „Słowa” zgodził się z ich poglądami, zaznaczając jednocześnie, że urzędnicy tutejsi powinni zwracać większą uwagę na mozaikę narodową i wyznaniową, by kogoś przypadkiem (nie mówiąc już o działaniu celowym) nie skrzywdzić... I znów ruszył Mackiewicz trasą planowanej kolei na północ: na Pohost i Nowy Pohost. Dotarł do punktu handlowego w Miorach i w końcu do celu swojej wyprawy, najbardziej wysuniętego na północ cypla II Rzeczypospolitej – Drui, małego miasteczka położonego na granicy z Łotwą i niewiele oddalonego od granic Litwy i ZSRR. Przyglądał się mieszkańcom, cieszył się z ich zgodnego współżycia, czego dowodem miało być to, że w centrum miasteczka stały i kościół, i cerkiew, i synagoga, nad którymi górował – zajmowany przez oddział Korpusu Ochrony Pogranicza – stary zamek Sapiehów.

Bywało, że w myśl powiedzenia: cudze chwalicie, swego nie znacie, otwierał Mackiewicz mieszkańcom Wilna, czytelnikom „Słowa”, oczy na piękno, które znajduje się wokół nich, a którego – zapatrzeni bezkrytycznie w obce kraje, pasjonujący się opisami egzotycznej przyrody – wcale nie dostrzegali. W tym celu wybrał się nad jezioro Narocz. Mimo że znajdowało się ono w pobliżu Wilna, wybudowano nad jego brzegiem schronisko, a w okolicy odbywały się kiedyś rajdy samochodowe, wilnianie, zdaniem Mackiewicza, niewiele wiedzieli o tej krainie jezior i lasów, gdzie suszą się kilometrowej długości sieci rybackie. Według dziennikarza z tej czarownej, a zapomnianej krainy można by uczynić uzdrowisko nie gorsze niż Krynica, Zaleszczyki czy Gdynia. Miałoby ono jednak dla mieszkańców Wileńszczyzny tę jeszcze zaletę, że: nie za morzami to leży, nie za siódmą górą, nie za siódmą rzeką, a za Wilią rzeką, tylko wiorst trochę, tuż, że ręką podać, w samym sercu Ziemi Wileńskiej!. I chociaż parę lat później stało się jezioro Narocz niezbyt chlubnym bohaterem reportażu Mackiewicza, zawsze i wszędzie podkreślał on jego piękno.

Znad Narocza wybrał się Mackiewicz w podróż „do źródeł Berezyny”. Pamiętał i znał te tereny sprzed wojny, z tego okresu, gdy nie było tu jeszcze wielkich różnic narodowościowych. Niestety, powojenna polityka rządu polskiego zmieniła i to. Dziś różnice narodowościowe krystalizują się coraz wyraźniej. Oczywiście wiele jest tego przyczyn, a jednym z niepoślednich czynników takiego różniczkowania: ja Białorus, a on Polak – jest osadnictwo – pisał Mackiewicz w „Słowie”, poddając jednocześnie krytyce akcję osadzania na terenie Wileńszczyzny ludności z centrum kraju, ludności nie tyle nawet „obcej”, co niemogącej zrozumieć panujących na Kresach stosunków, niebiorącej pod uwagę odrębności i „inności” tych ziem. Na pytanie zaś gdzie szukać przyczyn niezadowolenia chłopów białoruskiego? – odpowiadał jasno: w tym ogólnym stanie niezrozumienia dla chłopów tutejszego rządów demokratycznych, biurokratyzowanej administracji, obcych urzędnikach, niezrozumiałych okólnikach, reformach (nie mówiąc już o podatkach!) [...]. Wszystko razem tworzy chaos. Wyraźny dowód tego niezrozumienia widział pisarz w przywiązaniu włościan do carskiej Rosji,

co przejawiało się w tym, że jeszcze wtedy – a był to już rok 1929 – wszystko liczyli i szacowali w rublach. Administracja polska nie spełniała więc jego zdaniem swego zadania. Dla chłopów wiele okólników władz pozostawało niezrozumiałych (np. nakaz bielenia domów), nie widzieli w nich większego sensu, bo też nie miał im kto tego wytłumaczyć. Tłem tych problemów społecznych pozostawała dla Mackiewicza zawsze przyroda, te chwalone przezeń piękne okolice: lasy, jeziora!

Tego na Wileńszczyźnie nigdy nie brakowało. Zapaleni myśliwi zagłębiali się od wieków w przepastne knieje litewskich puszczy. Mackiewicz choć myśliwym nie był, też wybrał się pewnego razu – we wrześniu 1929 roku – do Puszczy Rudnickiej. Zwiedził Olkieniki („stolicę” puszczy), Rudniki (jej „serce”) i Ejszyszki, przypatrując się przy okazji codziennemu życiu ich mieszkańców: Litwinów i Białorusinów. Parę tygodni później wyruszył do Słonima. Obejrzał miasto: XVIII-wieczną synagogę, meczet, hale targowe, gmach magistratu, zwrócił uwagę na rozwijający się przemysł drzewny i zwiększoną liczbę tartaków. Zauważył jednak, że miasto pozbawione jest większych perspektyw rozwoju. Przyszłością Słonima był bowiem zdaniem Mackiewicza handel Niemnem (przez Litwę) do Kłajpedy, gdzie znajdował się ogromny rynek zbytu drewna. Z przyczyn politycznych ta droga pozostawała jednak zamknięta. 2)

Jezioro Narocz
Fot. © Wikipedia

Jezioro Narocz

Fot. © Wikipedia

W latach następnych ilość reportaży tego typu zmalała, Mackiewicz zajął się innymi sprawami (przede wszystkim stosunkami polsko-litewskimi), mniej miał czasu na podróże po dawnym Wielkim Księstwie. Odwiedził jedynie podwileńską własność hrabiów Tyszkiewiczów – Landwarów, zwracając uwagę czytelników na postępującą degradację posiadłości. W czerwcu 1931 wybrał się natomiast w objazd podwileńskich miejscowości letniskowych, zachęcając mieszkańców Wilna do ich odwiedzin podczas rozpoczynającego się właśnie sezonu wakacyjno-urlopowego. Dopiero w początkach 1936 roku znalazł czas, by wybrać się na cztery dni do Grodna. Z podróży tej zamieścił w „Słowie” cykl niezwykle wnikliwych reportaży. Czytając je, można odnieść wrażenie, że Mackiewicz był wszędzie, widział wszystko, rozmawiał z każdym. Grodno – przed I wojną światową stolica guberni, teraz jedynie powiatu – wydało mu się typowym kresowym miasteczkiem, w połowie zamieszkałym przez Żydów, gdzie na 7 tysięcy prawosławnych (miasto było podówczas nawet siedzibą biskupa prawosławnego) przypadało 21 tysięcy katolików. W pierwszej części reportażu publicysta wspomniał zdanie swojego znajomego z Warszawy, dotyczące wyglądu Grodna: to śliczne miasto, zwłaszcza gdyby je zburzyć i odbudować na nowo. Sam wyjaśnił to następująco: Na skutek dziejowych wstrząsów Grodno bardziej od innych miast straciło swą zewnętrzną fizjonomię. Przychodzili doń ludzie i chlapani z wielkiej kadzi wapnem. Grodno jest jak fresk, pokryty grubą warstwą patyny obcej mu z gruntu. Spacerując brzegiem Niemna, znalazł na to kolejny dowód – ktoś, kto się chciał zasłużyć dzisiejszej Polsce, nakazał wywiesić tabliczki: „wybrzeże im. Bronisława Pierackiego” 3). – Po co to? – pytał Mackiewicz. – Czyżby wielkości imienia śp. ministra Pierackiego stała się jakowaś krzywda, gdyby niczym nie związana z nim dzielnica Grodna jego imieniem nie została nazwana?.

Pisarz zainteresował się stosunkami polsko-żydowskimi w mieście, był w sądzie na procesie Polaka Dympera, oskarżonego o zamordowanie Żyda Lipskiego. Zwiedził zamek królewski, „chlubę Grodna”, o którym pisał: Takiego zamku nie posiada Wilno. Jestem zamku tego entuzjastą, podziwiam jego położenie, piękno jego wnętrza, bramy i mostu. Nie szczędził pochwał pod adresem jego kustosa, Józefa Jodkowskiego, pod którego przewodnictwem i kierunkiem odbywał się właśnie remont zamku. Widziałem ogrom wykonanej pracy – przyznał Mackiewicz. Następnego dnia wybrał się na zwiedzanie powstałego w 1924 roku Miejskiego Muzeum Przyrodniczego. Tłumaczył to następująco: Sam kiedyś byłem przyrodnikiem i dlatego śpieszę odświeżyć wspomnienia, w zapachu naftaliny i zastygłego milczenia wypchanych ptaków. Szczegółowo opisał bogate zbiory, stwierdzając na zakończenie: Dziś, w roku 1936, muzeum przedstawia się imponująco. Przed samym wyjazdem udał się jeszcze do teatru, który wznosił przed wielu laty Antoni Tyzenhauz. Zaskoczeniem był dla Mackiewicza fakt, że – mimo iż wystawiano same ambitne sztuki – widownia ciągle była pełna i składała się ze wszystkich narodowości, bez względu na wykształcenie i zawód. Opuszczał Grodno jednak z niezbyt wesołymi myślami, którym dał wyraz w słowach: Grodno ulepione jest z tej samej co Wilno gliny, łączyło nas wszystko dotychczas, a dzieli tylko 150 kilometrów drogi. Szkoda że te drogi zaczynają się rozchodzić, że ktoś systematycznie rozsupłuje węzeł, którym związani byliśmy wspólną historią od wieków. W ustach entuzjasty idei Wielkiego Księstwa słowa te musiały mieć symboliczne znaczenie.

I znów wyruszył Mackiewicz w drogę. Koleją i sankami przebył trasę Kobylniki – Konstantynów – Łyntupy – Brasław. W Brasławiu, położonym zaledwie 37 kilometrów od Drui, rozmawiał z ludźmi na temat budowy portu w tym miasteczku. Miała to być wielka inwestycja, prawie dorównująca Gdyni. Pomysł jednakże, jak twierdzili mieszkańcy Brasławia (z czym Mackiewicz się zgadzał), obliczony był raczej na efekt polityczny, aniżeli gospodarczy. Pytali oni dziennikarza: Bo co da nam Druja? (...) Wolimy, żeby nam wybudowano szerokotorową kolej, niż port w Drui. Dowodzili, że Dźwina, którą drewno miało być stamtąd spławiane na Łotwę, jest rzeką niebezpieczną do nawigacji z uwagi porohy, że nie jest to ważna trasa. Mackiewicz, popierając ich, pisał: Nasze naturalne drogi wiodą do Kłajpedy i Libawy. Niemen i Wilia. Nie Dźwina!... Miesiąc później wsiadł na barkę, którą – płynąc Prypecią i Horyniem – przebył 120 kilometrów z Pińska do Dawidgródka. Ściągnęły go tutaj pogłoski o cudzie, o dziwnym śnie starej kobiety i „cudownym odnowieniu” ikony, zamkniętej w zabitej deskami kaplicy. Mackiewicz przysłuchiwał się opowieściom; był – jak mało kto – bardzo cierpliwym słuchaczem. Słuchał i wyciągał wnioski. Dostrzegł na przykład, że prawosławie stopniowo traci wyznawców, wierni zaś przechodzą do fanatycznych sekt religijnych (samo zjawisko sekciarstwa stało się wówczas na Polesiu niezwykle żywe). Mackiewicz był tym tematem bardzo zainteresowany. Jeden z reportaży w tomie „Bunt rojstów” (1938) poświęcił temu właśnie problemowi. 4)

Kolejne miesiące 1936 roku wypełnione były w życiu Mackiewicza ciągłymi podróżami. A to statkiem do Pińska na odbywającą się tam „Wystawę Poleską”, a to do Puszczy Rudnickiej, która zwabiła na polowania wielu dygnitarzy państwowych, m.in. marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, prezydenta Ignacego Mościckiego i jego poprzednika na tym stanowisku, Stanisława Wojciechowskiego. To znów zwizytował Dawidgródek, by wziąć udział w konsekracji nowego kościoła katolickiego. Jesienią

1936 roku – kiedy to obiegła Polesie wiadomość o odkryciu w tutejszych podziemiach zamkowych piętnastu tajemniczych trumien – po raz kolejny zawędrował do tego miasteczka. Odkrycia dokonano, jak to często w takich sytuacjach bywa, przypadkiem. Robotnicy podczas kopania fundamentów pod nową cerkiew natrafili na trzynaście dębowych trumien. Ojciec Aleksander Biełajew zarządził wówczas przeniesienie ich na położone opodal wzgórze, zakopanie i postawienie krzyża. Tak też zrobiono. Gdy jednak odkryto jeszcze dwie inne trumny (w których nie znaleziono żadnych wyrobów metalowych, żadnych ozdób, jedynie pantofle ze skóry łosia), nakazano robotnikom ponowne odkopanie trumien. Uznano, że pochodzą one z XIV wieku, jednakże jeden z najwybitniejszych archeologów wileńskich, Antoni Łachiewicz, doszedł do wniosku, że są starsze. Rozpoczęły się żmudne badania. Z początku nieśmiało wysuwano tezę, że są to groby książąt kijowskich z XII wieku, wreszcie zagadkę rozwiązano – w podziemiach zamku pochowani byli m.in. książę Dawid Igorowicz (zmarły w 1112 roku) 5) i jego rodzina: żona, syn Wsiewołodko (zmarły w 1141), wnukowie: Borys, Hleb (zmarły po 1168) i Mścisław (zmarły po 1183). Sprawa stała się bardzo głośna w całej Polsce właśnie dzięki reportażom Mackiewicza, w których apelował on do odpowiednich urzędników i instytucji państwowych, by się nią zajęli, by przyznali fundusze na prowadzenie badań i urządzili w cerkwi w Dawidgródku specjalną kryptę. Nic jednak nie zrobiono. Parę miesięcy później skarżył się Mackiewicz na łamach „Słowa”, że cerkwi się nie buduje, a wykopaliska stoją i niszczeją. Komisja, która zająć się miała wykupem tego terenu od parafii prawosławnej, nic jeszcze w tym kierunku nie uczyniła. Skandal – napisał Mackiewicz krótko i dosadnie.

Pewnego dnia, pociągiem, a potem furmanką, wybrał się do Budśławia (za Mołodeczmem). Zarówno miasto, jak i jego mieszkańców uznał za ospałych i oblepionych błotem. Jakże jednak wielkie było jego zdziwienie, gdy w budynku dworca kolejowego zauważył plakaty reklamujące... Zakopane, Kasprowy Wierch i kolejkę górską. Takich absurdów w czasie swoich podróży dostrzegał znacznie więcej. Płynąc „Orłem” po Horyniu do Pińska, zastanawiał się nad inwestycjami (czy raczej ich brakiem) na Polesiu. Parę miesięcy później, znów będąc w Pińsku na otwarciu kolejnego Jarmarku Poleskiego, pisał: Gospodarczego znaczenia dla Polesia Jarmark Poleski nie ma. Ma natomiast ogromne dla Pińska i dlatego należy go popierać i inicjatywę nie tylko prostować, ale też podtrzymywać. Innym razem, chcąc zdementować plotkę o odkryciu na Polesiu wsi, której mieszkańcy nie wiedzą jeszcze o zakończeniu wojny, odszukał tę wieś – Mitrycze – i odwiedził mieszkającą tam rodzinę. Plotka okazała się być daleka od prawdy. Wieś wcale nie była, jak powszechnie uważano, „rajem”, w którym mieszkańcy nie płacą podatków. Sekwestator nie miał tam po prostu po co jechać; przecież ogromna nędza – wyjaśniał dziennikarz. Gdy w pierwszej połowie września 1937 we wsi Lipa koło Dubna robotnicy kopiący glinę dla cegielni znaleźli szczątki szkieletu mamuta, Mackiewicz jako jeden z pierwszych dziennikarzy udał się do Lipy. Potem na łamach „Słowa” (podobnie jak było to w przypadku trumien w Dawidgródku) starał się całą sprawę nagłośnić, gdyż jak zwykle nikt z miejscowych władz wykopaliskiem się nie zainteresował, jedynie nauczyciel szkoły powszechnej, ksiądz i peowiak. Czy tym razem interwencja Mackiewicza okazała się skuteczna, nie wiadomo. On sam więcej do tej sprawy nie powrócił.

Słonim, synagoga © Jan Bułhak, Wilno 1937 Fot. za atticus.pl

Słonim, synagoga

© Jan Bułhak, Wilno 1937

Fot. za atticus.pl

W latach 1938 i 1939 Mackiewicz, z wiadomych przyczyn, poświęcił się głównie sprawom politycznym i interwencyjnym. Coraz mniej podróżował dla przyjemności, coraz więcej z obowiązku. Nie miał już czasu (a może i ochoty), by zachwycać się pięknem rodzimej przyrody. Z lat tych pozostały w „Słowie” jedynie: przepiękny opis podróży barką po rzece Lwie, reportaż z objazdu samochodem po powiecie wileńsko-trockim oraz zbeletryzowany reportaż opisujący kolejną podróż Mackiewicza po Polesiu. Potem już całkowicie uwagę jego zaprzętnęły przygotowania do wojny. Z reportaży tych, często neutralnych, obok których można było przejść obojętnie, wyłania się obraz człowieka bardzo wrażliwego i otwartego. Na każdej stronicy nie daje o sobie zapomnieć Mackiewicz-przyrodnik, ornitolog, baczny obserwator życia zwierząt, przyrody i ludzi. Reportaże te okazały się znakomitą wprawką do późniejszej, już powojennej i emigracyjnej, twórczości beletrystycznej, w której sporo jest przecież opisów natury i w której niejednokrotnie przyroda podniesiona została do rangi bohatera (przynajmniej jednego z głównych, jak miało to miejsce na przykład w powieści „Karierowicz”).

II. „Instytucjonalny obrońca pokrzywdzonych” (reportaże interwencyjne z lat 1936-1939)

Niezwykle trafnie sens prawie całej przedwojennej publicystyki Józefa Mackiewicza, a już na pewno tej części, którą można określić mianem reportaży interwencyjnych, oddaje ta myśl, wyrażona przez żonę pisarza, Barbarę Toporską: Przed wojną w Wilnie, Józef Mackiewicz był niemal instytucjonalnym obrońcą krzywdzonych i pokrzywdzonych. Nie miało to nic wspólnego ze społecznikostwem, nic z socjalizmem, nic ze sprawiedliwością społeczną. Chodziło o sprawiedliwość polityczną, łamaną – niestety – w tempie przyśpieszonym przez administrację polską wobec ludzi, których on uważał za swoich rodaków, niezależnie od ich języka i wyznania czy narodowości, do jakiej się przyznawali, a często określali pojęciem tutejszy, które należało polonizować. W każdym przypadku brał dziennikarz „Słowa” w obronę przed nadużyciami państwowej administracji tzw. „tutejszych”, najczęściej białoruskich chłopów, zamieszkujących te ziemie z dziada pradziada. Uważał się, jak wspominała Toporska, za ich rodaka. Razem tworzyli jeden naród, którego ojczyzną było – podzielone teraz między trzy wrogie sobie państwa (Polskę, Litwę i Związek Radziecki) – Wielkie Księstwo Litewskie. Brał ich w obronę przed rządem, państwem i – co często powtarzał – robił to właśnie w imię dobra tego państwa.

Mackiewicz wiedział i widział jak nikt inny, ile szkody może temu państwu wyrządzić nierozważna, niedostosowana do określonych potrzeb polityka, zbiurokratyzowanie administracji, coraz bardziej oddalającej się od tych, którym przecież służyć powinna – obywateli. Mackiewicz jak pies gończy tropił i opisywał wszystkie nieprawości, zawsze był na miejscu, zawsze czuły i wrażliwy na ludzką krzywdę, niesprawiedliwość. Pisał o rzeczach nieprzyjemnych i to pisał wprost, niczego nie owijając w bawełnę; nie było dla niego tematu tabu. Nic zatem dziwnego, że wielokrotnie bywał za swoje

artykuły atakowany, poddawany stałej obserwacji i cenzurze. Nie był lubiany przez władze, cieszył się natomiast poważaniem i sympatią wśród zwykłych obywateli. Zaowocowało to zresztą w przyszłości, gdy znalazł się Mackiewicz – wiosną 1945 roku – w tragicznej sytuacji podczas ucieczki przed bolszewicką nawałą.

Materiał do pierwszego tego typu reportażu zebrał Mackiewicz w czasie pobytu w Święcianach. Jego bohaterem była... plotka. Otóż przekonał się on, że całe miasto nie mówi o niczym innym, jak o konflikcie między dwoma lekarzami pracującymi w miejscowym szpitalu: doktorem Małafiejewem i doktorem Jurkiem. Z kim by się nie rozmawiało, osoba ta od razu wchodziła na temat konfliktu i powtarzała na okrągło zasłyszane gdzieś plotki o tym, że doktor Małafiejew oskarżony jest o jakieś nadużycia i – po cichu – o to, że nie sprzyja władzy. Opuszczał Mackiewicz miasto rozżalony i przerażony. Parę dni później na marginesie konfliktu w Święcianach zastanawiał się w „Słowie” nad charakterem prowincjonalnych miasteczek, nad plotką dawniejszą i dzisiejszą. Pełen goryczy pisał: Intryga i plotka pozostały, ale już to nie jest ta sama intryga i ta sama plotka. Gorsza! Kiedyś uprawiano ją dla zabicia czasu, dziś dla zabicia konkurenta. Szara codzienność powiatowych miasteczek przedstawiała mu się więc w jak najczarniejszych barwach, mali i szarzy byli ludzie, małe i szare były też sprawy, którymi się zajmowali.

Po tym wstępnym, nieco banalnym reportażu zajął się Mackiewicz swoją pierwszą wielką sprawą – buntem rybaków na jeziorze Narocz. Wszystko zaczęło się od wprowadzenia w życie ustawy rybackiej, na mocy której państwo zaanektowało jeziora, a potem kazało chłopom od pokoleń łowiących w nich ryby dowodzić swoich własności. Chłopi często nie posiadali na to żadnych dokumentów (własność ich uświęcona była tradycją), nie stać ich było na wszczęcie procesu, postanowili się więc zbuntować. Pierwsze wypadki miały miejsce na podwileńskim jeziorze Miadzioł, które po zajęciu przez państwo zostało oddane do przetargu. Po wielu kombinacjach kupił je (za 3250 zł) niejaki Wiesztort. Gdy próbował dotrzeć do jeziora, chłopci zagrozdzi mu drogę. Wezwał wówczas na pomoc czterech policjantów, którzy przez chłopów oskarżeni zostali o... komunizm. Oburzony Mackiewicz pisał: A czyż ustawa rybacka nie podrywa stokroć gorzej autorytetu prawa, prawa własności, a tym samym i autorytetu tych, którzy powołani są do strzeżenia tego prawa... Publicysta sprzeciwiał się ostro temu, że w imieniu prawa to właśnie prawo jest łamane.

Jednakże wypadki na jeziorze Miadzioł były dopiero wstępem do rewolty, jaka wybuchła wśród rybaków naroczańskich. Jezioro to na mocy ustawy przejęła bowiem dyrekcja Lasów Państwowych. Zgodę na połowy sielawy udzieliła jedynie dwóm chłopom, pod warunkiem że całość będzie jej oddawana. Wyznaczono także cenę, którą dyrekcja miała płacić, a wynosiła ona zaledwie 66 procent rynkowej ceny wileńskiej. Chłopi sprzeciwili się tej tak jawnej ich zdaniem niesprawiedliwości i wbrew ostrzeżeniom pojechali z rybami do Wilna. Tam cały połów został im skonfiskowany. W odwecie ogłosili 3 lutego 1936 roku strajk. – Dyrekcji Lasów też łowić nie pozwolimy – mówili. Strajk przebiegał spokojnie do chwili, kiedy dyrekcja najęła robotników mających zająć się połowem. Chłopi im to skutecznie uniemożliwiali. Wówczas konflikt przekroczył lokalne granice, a sprawa stała się głośna w całej Wileńszczyźnie.

Od razu też zainteresował się nią Mackiewicz. Jak zwykle postanowił zbadać wszystko na miejscu i udał się do głównej kwatery „buntowników” pod Naroczem. Przyszło mu też sprostować plotkę, jakoby strajk rybaków był żydowską intrygą. W związku z tym można zadać dwa pytania – pisał. – Czy Żydzi popierają żądania chłopów? – Niewątpliwie tak. – Czy Żydzi są inicjatorami strajku naroczańskiego? – Kategorycznie nie. I wyjaśniał: Żydzi, owszem, ciągnęli korzyści z Naroczy, ale teraz, wraz z rybakami, ponoszą straty. Chłopom jednak pomoc nie chcieli. Jeden tylko Żyd, kupiec Rywkind, wszedł w porozumienie z rybakami, którym dyrekcja zezwoliła na założenie sieci, pożyczył im pieniądze na sprzęt, a potem miał się zająć sprzedażą ryb. Te jednak zostały skonfiskowane i tak powstała plotka o żydowskiej intrydze. Teorię Mackiewicza potwierdziła wizyta w kwaterze „buntowników”. Strajkujący chłopci uważali jezioro za swoją bezsprzeczną własność i nie mogli zrozumieć sensu i celu ustawy rybackiej; twierdzili w dodatku, że ryb jest tyle, że starczy dla każdego. Dotychczas połowy sielawy na Naroczu były ich jedynym źródłem utrzymania, upaństwowienie jeziora odbierało im to źródło, prowadziło do biedy. Zdeterminowani rybacy ogłosili strajk, a Mackiewiczowi starali się wytłumaczyć swoje postępowanie: Jednogłośnie twierdzą – pisał – że stracili tyle i więcej nie mają nic do stracenia.

Budynek elektrowni w Drui zalany przez wylew Dźwiny, widok z początku XX wieku
Fot. © rzecz-pospolita.com

Budynek elektrowni w Drui zalany przez wylew Dźwiny, widok z początku XX wieku
Fot. © rzecz-pospolita.com

Położeniem chłopów zainteresowała się także posłanka Wanda Pełczyńska⁶ (żona ówczesnego pułkownika), która przyjechała do Naroczy, by – podobnie jak Mackiewicz – zbadać sprawę na miejscu, a później w prasie warszawskiej poprzeć żądania zbuntowanych rybaków. Dziennikarz wyrażał się o niej bardzo pochlebnie, pisząc w „Słowie”: Moim zdaniem zasługa pani Pełczyńskiej polega na tym, że wśród kilkunastu wsi białoruskich nie dała upaść nagle zachwianej wierze w poczucie sprawiedliwości w Państwie. Jej także zasługą było to, że sprawę nagłośniła na cały kraj. Starano się bowiem ze wszystkich sił problem Narocza wyciszyć, aby nie szargać autorytetu Państwa. Mackiewicz miał w tym względzie zupełnie inne poglądy, uważał to wręcz za szkodliwe. Wyjaśniał: (...) skoro pan nie będzie tego autorytetu komentował w jego błędach, zrobi to za pana agitator komunistyczny. Skoro pan nie zechce wystąpić w obronie pokrzywdzonego, to wystąpi za pana agitator komunistyczny. Obawy Mackiewicza były o tyle uzasadnione, że zauważał ze zdziwieniem zaufanie, którym chłopci darzą Żydów. Jego zdaniem wpływ na to miała wspólnota sytuacji: Żyd bowiem, z reguły niechętnie ustosunkowany do władz, potrafi w ten sposób zdobywać zaufanie włościan. Było to dla Mackiewicza zjawisko niekorzystne, niezdrowe. Żyd, według niego, jako człowiek obcy rasą nie był predestynowany do opieki nad „chrześcijańskimi włościanami”. Ta żydowska „opieka” była – w rozumieniu Mackiewicza – oznaką słabości państwa i błędnej polityki administracyjnej.

Podczas gdy konflikt na jeziorze Miadzioł trwał, na Naroczu doszło do chwilowego kompromisu. Starosta zgodził się na wypuszczenie z aresztu zatrzymanych w czasie strajku chłopów, za co ci zezwolili dyrekcji na połowy. Ta zaś w zamian za to umożliwiła chłopom zarzucenie sieci, ale pod warunkiem że będą jej odsprzedawali ryby za 50

groszy za kilogram. Gdy jednak zaproponowano rybakom spisanie umowy, ci – nadal nie uznając praw dyrekcji do własności jeziora – odmówili, nie chcąc tworzyć precedensów prawnych. Zapanował chaos, z którego wszyscy, o dziwo, wydawali się zadowoleni: łowili chłopci i łowiła dyrekcja, która na dodatek zatrudniała do tego chłopów. Umowa dotyczyła jedynie sielawy, pozostałe ryby chłopci mogli łowić bez ograniczeń i sprzedawać na własną rękę. Kompromis, choć zadowalał obie strony, był jednak – zdaniem Mackiewicza – ze wszech miar śmieszny, nadal też nadszarpywał autorytet władzy. – Jakież tedy wyjście? – pytał Mackiewicz. – Wciąż tylko jedno: ustąpienie zupełne Dyrekcji. Ale nim do tego doszło, rozwiązano konflikt na Miadziole. Nie odbyło się jednak bez rozprawy sądowej; sąd zakwalifikował czyn rybaków jako samodzielne wymierzenie sprawiedliwości. Uznał, że rybacy działali w dobrej wierze i wewnętrznym przekonaniu swych słusznych praw. [...] wymierzył im karę raczej symboliczną. Dla Mackiewicza – twierzącego, że ustawa rybacka zwłaszcza na ziemiach naszych koliduje z najelementarniejszym, najważniejszym i najbardziej rozbudzonym wśród włościan poczuciem prawa własności – wyrok sądu był słuszny i sprawiedliwy.

Kiedy zażegnano konflikty na Miadziole i Narocz, wybuchła nowa – sprowokowana przez dyrekcję Lasów Państwowych w Wilnie – awantura w Brasławskiem. Dyrekcja nakazała chłopom łowiącym na należących do niej jeziorach Smudo, Strusto i Wojso wykupienie rocznej karty rybackiej (za 17 zł) i zapłacenie za możliwość samego łowienia 25 zł (razem 42 zł), a nie 10 zł, jak wszędzie do tej pory bywało. I znów doszło do buntu rybaków, którzy udali się do starosty z papierami dokumentującymi prawa wolnego połowu. Nikt jednak nie chciał im pomóc. Wówczas chwycili za broń ostateczną: w dno jeziora powbijali kosy, które cięły zastawione przez dyrekcję sieci i uniemożliwiały jej połowy; na dodatek chłopci – bez żadnych kart – łowić zaczęli na wędki. Zapanował całkowity chaos, nadszarpujący autorytet prawa wśród białoruskich chłopów – ustawa rybacka po raz kolejny udowodniła swą nieprzydatność na Kresach Wschodnich.

Do sprawy Narocza powrócił Mackiewicz po roku, obwieszczając czytelnikom „Słowa”, że eksperyment się nie udał. 3 stycznia 1937 roku dyrekcja Lasów Państwowych usunięta została z nieograniczonego władania nad Naroczem, przywrócono na jeziorze stan sprzed wprowadzenia ustawy rybackiej. Konflikt ciągnął się przez rok, a w ciągu tego czasu zakuto jednak w kajdany uczciwych ludzi, innych pozbawiono chleba (ryby), a wielu, wielu usposobiono nieprzychylnie do Państwa, które poniosło tam straty gospodarcze i polityczne. Tym samym polskie ustawodawstwo narażone zostało na śmieszność, zaś zrównanie dyrekcji Lasów z prawami rybaków, choć było aktem sprawiedliwości, nie mogło wszystkiego naprawić, a tym bardziej zatrzeć nieprzyjemnego wrażenia. Pozostał też problem – co należy zrobić dalej? Mackiewicz proponował: [...] wyłączyć jezioro Narocz i Miastro spod obowiązku tworzenia obwodów rybackich. To pierwszy warunek. [...] Stworzyć z faktycznych właścicieli i użytkowników dobrowolną spółkę rybacką w oparciu o kredyty państwowe bądź prywatny kapitał chrześcijański. Czy ktokolwiek wziął sobie rady dziennikarza do serca, trudno powiedzieć. Wiadomo natomiast, że na łamach „Słowa” więcej do tej sprawy Mackiewicz już nie powrócił.

Śledząc absurdy administracyjne, trafił Mackiewicz po raz kolejny do Drui. Postanowiono wybudować tu port, aby spławiać przezeń drewno do Rygi. Miała to być druga Gdynia. Pomysł jednakże był od samego początku chybiony, decyzja ta – zdaniem Mackiewicza polityczna – nie posiadała bowiem żadnego uzasadnienia w gospodarczych potrzebach tych terenów. W lutym 1936 roku państwo postanowiło wycofać się z tej budowy, sprawa portu wypadła nawet z rocznego budżetu państwowego. Ten przykład jawnej niekonsekwencji i braku przyzwoitości oburzał Mackiewicza, uważającego, że jeśli cokolwiek zaczęto się robić, powinno to zostać doprowadzone do końca. Tymczasem wybudowano 89 kilometrów kolei. Do rzeki Drujki – którą drewno miało być dalej spławiane – zabrakło zaledwie kilometra. Drewno zatem dowożono dalej koleją, a potem jeszcze furmankami do rzeki, co zdecydowanie podwyższało koszty, często czyniąc spław nieopłacalnym. Cały ten absurd doprowadził do tego, że na razie w Drui wytworzyła się sytuacja paradoksalna. Miasto nie tylko nie zarobiło na wybudowaniu kolei, ale przeciwnie – straciło, podupadło i wygląda strasznie. Administracja państwowa zaś zachowywała się, jakby Druja nigdy nie istniała, jakby miasteczka wcale nie było na mapie. [...] nic, ale to absolutnie nic, nie robi się dla podniesienia gospodarczego Drui, dla przygotowania gruntu pod zamierzenia przyszłości. Tylko się mówi... – pisał Mackiewicz, dając upust swojemu niezadowoleniu.

Podobną sytuację zastał w Chełmie lubelskim, dokąd zawiodły go pogłoski o roztrwonieniu milionów złotych na budowę „miasta-upiöra”. Zaczęło się wszystko w roku 1928, kiedy to zaplanowano tam (rozłożoną na 3-4 lata) budowę siedziby Radomskiej Dyrekcji Kolejowej. Wybudować miano biura i mieszkania dla tysięcy urzędników. Z początku prace szybko posuwały się naprzód: postawiono 150 domów, zbudowano 22 ulice, bocznicę kolejową, szosy, szkoły, drogi dojazdowe do miasta. Koszty planowano na 30 milionów zł, miasto miało być oddane już w 1930 roku, gdy nagle wszystko stanęło. Od chwili rzucenia pomysłu budowy minęło 8 lat – i nic! Powstało miasto-widmo, miasto-upiór. Budowa każdej ulicy kosztowała milion złotych (razem 22 miliony); gdy jednak nadeszła zima 1929 roku – notabene, bardzo mroźna – nikt nie pomyślał o zabezpieczeniu fundamentów. Ulice i mury domów uległy zniszczeniu, zaczęto mówić, że budowa diabła warta. Stracili wszyscy: prywatni przedsiębiorcy, stary Chełm, który zaangażował się w budowę nowej części miasta, przez co został doprowadzony do ruiny, i przede wszystkim Skarb Państwa, wyrzucający pieniądze w błoto na coroczną konserwację tego, co już zostało wybudowane.

Sprawę całą, jak zapewne często w takich przypadkach bywało, zatuszowano. Skandalem jest – pisał na to Mackiewicz – że nikt w Polsce nie ponosi odpowiedzialności za roztrwonienie 22 milionów złotych ze Skarbu Państwa. W przeciągu ośmiu lat trwania całej afery nie słyszeliśmy o żadnym procesie w tej sprawie. To jedna strona medalu. Druga była równie niewesoła. W Chełmie marnowano pieniądze (w imię czego? – pyta Mackiewicz), gdy tymczasem brakowało kredytów na rozwój Wileńszczyzny. Sporządzona przez dziennikarza lista zaniechań jest długa: a) zmarnowano port w Drui, gdyż zabrakło pieniędzy (Zabrakło kredytów na bocznicę na przestrzeni jednego kilometra. Zmarnowano całą koncepcję, bo ktoś musiał zarabiać w Chełmie...); b) w 1929 roku odmówiono przekucia linii kolejowej Dukszty-Druja z wąskotorowej na normalną; c) podobnie z linią Nowojelنيا-

Nowogródek; d) odrzucono postulaty Narocza i Polesia, których wprowadzenie miało wzmocnić i zwiększyć ruch turystyczny na tym terenie; e) nie usprawniono połączenia między Brześciem a Wilnem; f) nie zbudowano normalnej linii kolejowej na trasie Wilno-Głębokie (która była często uczęszczana, a na której przejazd 202 km zajmował... 12 godzin); g) w połowie tylko odbudowano – po zniszczeniach wojennych – dworzec w Brześciu litewskim; h) nie zbudowano porządnej stacji w Białowieży i Niemnie pod Lidą. Mackiewicz podał jeszcze więcej przykładów braku gospodarności na Wileńszczyźnie. Bolał go stosunek Warszawy do tych ziem, uważanych przez cały czas jedynie za kresy i z tego powodu traktowanych po macoszemu. Raziła go bezduszność administracji, która potrafiła tylko pobierać podatki, nie dając nic w zamian.

Szemetowszczyzna. Dwór Skirmunttów obecnie
© K. Шацкоўcki
Fot. za www.radzima.org

Szemetowszczyzna. Dwór Skirmunttów obecnie

© K. Шацкоўcki

Fot. za www.radzima.org

Potwierdzeniem jego poglądów na ten temat było postępowanie administracji państwowej w stosunku do ludności Polesia, która na przednówku 1936 roku stanęła przed widmem głodu. Winna była tu zima, a raczej – jej brak. Od lat bywało na Polesiu tak, że jesienią i wiosną puszcze zalewała woda; wszyscy czekali więc na mrozy, aż woda się zetnie. Wówczas wchodziło do lasów, rąbano drzewa, zwożono siano, łowiono ryby. Zima przełomu lat 1935/36 była jednak lekka i uniemożliwiła chłopom przedostanie się przez bagna do puszczy. Z braku siana głodowały zwierzęta, więc karmiono je ziarnami, które miały być wysiane wiosną, ściągano strzechy z chat. Kiedy nadszedł mróz, zwieziono w końcu siano. Było go jednak w tej chwili tak dużo, że ceny spadły. Sprzedaż zboża stała się nieopłacalna do tego stopnia, że mieszkańcom Polesia zagroził głód. Powstały komitety pomocy dla Polesia, zaangażował się w to nawet rząd w Warszawie. Ministerstwo Rolnictwa uzależniło jednak swą pomoc – tzn. przewóz żywności – od zniżek na kolejach (inaczej by się nie opłacało), Ministerstwo Komunikacji przyznało je, ale ulgnęły one gdzieś w biurach. Oczekiwana pomoc nie nadeszła. Mackiewicz po raz kolejny wyraził z tego powodu swój ogromny żal, przypominając przy okazji, że ludność Polesia brała udział w każdej zbiórce (na przykład kiedy organizowano pomoc dla Małopolski, zebrano 200 tysięcy gotówką). Dziś województwo krakowskie, na wezwanie pomocy głodującej ludności Polesia, nie raczyło nawet odpowiedzieć.

Nie jedyny to raz. Kiedy rok później – wiosną 1937 – miała miejsce klęska głodu na Brzławszczyźnie, nie zrobiono nic, by temu zapobiec, a potem – już po fakcie – by pomóc ludności. Poświęcony tej sprawie artykuł Mackiewicza w „Słowie” został skonfiskowany, jednocześnie zabroniono mu powracać więcej do tego tematu. Jak widać, niektóre z jego artykułów nie były władzy na rękę, pisał bowiem o tym, co niewygodne i tym samym – jak twierdzili jego przeciwnicy – podrywał autorytet rządu Rzeczypospolitej. Sam Mackiewicz był jednak odmiennego zdania i postawy swej nie zmienił – nadal bronił krzywdzonych przez państwo.

Tak było w przypadku właściciela dworu w Szemetowszczyźnie, hrabiego Edwarda Skirmuntta, któremu dyrekcja Lasów Państwowych – Nadleśnictwo Narocz zakazała wyrębu drewna na terenie należącej do niej Puszczy Kobylnickiej. Mimo że rodzina Skirmunttów posiadała zasądzone sądownie prawo wstępu i wyrębu, drewno było hrabiemu odbierane, aż wreszcie 23 marca 1936 roku gajowi lasów państwowych wraz z policją wkroczyli na teren majątku, by – mimo ostatniego wpisu hipotecznego, mimo najświeższego wyroku sądowego, stwierdzających bezsporną słuszność obywatela – zarekwirować mu resztę zmagazynowanego drewna. Skarga do wojewody wileńskiego nie odniosła skutku, policja – popierająca dyrekcję Lasów – stanęła przeciwko Skirmunttowi. W lesie dochodziło do nowych incydentów, kiedy gajowi z majątku starali się rąbać drewno. Miał wreszcie miejsce kolejny „zajazd”. Sprawę jeszcze bardziej zagmatwano, narażając na śmieszność prawo. W takich przypadkach Mackiewicz zastanawiał się najczęściej: komu to służy? – Dobru państwa? I za każdym razem odpowiadał: nie! – Państwo na takiej nieudolności i braku poszanowania prawa tylko traci. Traci znacznie więcej niż określoną ilość pieniędzy – traci bowiem szacunek i prestiż.

Dyżurnym niejako tematem reportaży Mackiewicza były nadużycia przedstawicieli władz miejskich nasłanych na Wileńszczyznę z centrum kraju, dorobkiewiczów, karierowiczów, traktujących najczęściej swoje posady jako środek do wzbogacenia. By zbadać jedną z takich „karier”, udał się Mackiewicz do Mołodeczna. Mołodeczno to typowe nasze miasteczko – pisał później. – Z jego państwowotwórczą, wstrętną konkurencją, urzędnikami, ambicjami [...] typowe w systemie zakulisowej polityki personalnej, protekcjonizmie, narzucaniu obcych ludzi i bezapelacyjnej decyzji dygnitarzy. W takim to miasteczku w 1928 roku urzędnikiem powiatowym został przyjezdny Tadeusz Rylski, pijak, dziwkarz i oszust w kartach. Ta „czarna eminencja” pięć lat później objęła nawet urząd burmistrza (dla dokończenia kadencji burmistrza, który ustąpił). Gdy w 1934 roku odbywały się nowe wybory, przyjechał do Mołodeczna sekretarz wojewódzki BBWR Birkenmayer i nakazał radnym jednogłośnie wybrać Rylskiego. Wyboru dokonano i choć wysłano potem memoriał, aby go nie zatwierdzać, na nic się to zdało. Burmistrz tymczasem brał łapówki i często awanturował się po pijanemu. Wszystkie skargi (między innymi do odpowiedniego ministra) wracały nierozpatrzone, w prasie zaś nie chciano o tym pisać, aby nie nadszarpywać autorytetu władzy.

Mackiewicz, uczulony na takie przejawy arogancji władzy, nigdy nie dawał za wygraną. Starostę lidzkiego Czuszkiewicza krytykował za sprowadzenie do wsi Bastuny junaków z Polski centralnej, aby budowali niepotrzebną nikomu drogę. Junacy zaś, ciesząc się poparciem władz i bezkarnością, dawali się chłopom we znaki, kradnąc im ziemniaki, zabierając bezprawnie ziemię pod budowę drogi itp. Pisał o dyrektorze Komunalnej Kasy Oszczędności w Grodnie Neumannie i staroście grodzieńskim Robakiewiczu, podejrzanych o podkradanie weksli w KKO i próbę zrzucenia winy na kasjera Ramłę. Kasjer, który stanął przed sądem, oczyszczony został ze wszystkich zarzutów, ale umarł – chorował bowiem na zapalenie płuc i plewryt – na 20 dni przed końcem procesu. Ot zabili człowieka – skomentował Mackiewicz, pytając zarazem: – A co będzie dalej? – Współczesne życie powiatowego miasta pisze powieść. Ponurą.

W początkach roku 1938 bohaterem reportażu Mackiewicza stał się ponownie starosta Robakiewicz, oskarżony – tym razem w Stanisławowie – o wyłudzenie pieniędzy miejskich na cele polityczne. Mackiewicz z góry tłumaczył ten precedens następująco: Uważam, iż sam fakt pociągnięcia do odpowiedzialności Robakiewicza, starostę, nie tyle podrywa autorytet władz, ile podnosi autorytet sądu polskiego; dalej zaś zastanawiał się: [...] jak nazwać rzeczywistość, która prowadziła starostę Robakiewicza przez kariery, odznaczenia, ordery, bramy triumfalne współczesnej Polski. Gdy w czasie procesu skazany on został na cztery lata więzienia, nie miał Mackiewicz wątpliwości, że stało się słusznie. To co wyrabiał starosta Robakiewicz w Grodnie – pisał – działo się również z wielką szkodą miejscowej ludności. Ale wina jest wyraźna. Jego bankiety i biesiady pochłaniały grosz publiczny. Nieodpowiedzialni ludzie na kierowniczych stanowiskach byli, zdaniem Mackiewicza, plagą Wileńszczyzny, jak i całego zresztą kraju. Przysłowiowym stał się dla niego starosta Świątkiewicz z Wysokiego Mazowieckiego. Takim samym typem człowieka był (tym razem niewymieniony z nazwiska) starosta lidzki, który w sierpniu 1938 potrafił samochodem chłopą Cieszkę i odjechał, nie udzielwszy mu pomocy. Chłop zmarł, rodzina jego nie otrzymała żadnej zapomogi, starosta zaś starał się wywinąć od odpowiedzialności. Z początku cała sprawa nie dostała do prasy, dopiero Mackiewicz wykrył ją (po paru miesiącach) i opisał.

Publicysta zajmował się również sprawami mniej spektakularnymi, choć nie mniej ważnymi dla ludności. W czerwcu 1936 roku udał się do Wołożyna. W tamtejszej szkole (do której uczęszczały dzieci katolików, prawosławnych i Żydów) powstał zatarg między dwoma nauczycielami: uczącym od roku panem Maliszewskim z Lidy i uczącym od lat czternastu panem Głuchowskim z Wołożyna. Ten pierwszy oskarżył swego starszego kolegę o to, że wychowuje dzieci w duchu antypaństwowym. Urażony Głuchowski oddał sprawę do sądu, jego obrony zaś podjęli się dwaj znani adwokaci wileńscy (Andrejew i Jasiński). Będąc formalnie oskarżycielem [Głuchowski] faktycznie bronić się musi przed najcięższym dla obywatela państwa zarzutem – pisał Mackiewicz. Oskarżenie opierało się na tym, że Głuchowski (będący prawosławnym) wyrzucił z modlitwy po lekcjach werset: Maryjo, Królowo Korony Polskiej oraz czasami mówił w szkole do dzieci po rosyjsku. Tymczasem okazało się, że – zgodnie z przepisami – ów werset musiał być odmawiany przed lekcjami, zaś po lekcjach już nie. Głuchowski trzymał się tylko przepisów. Z drugą częścią oskarżenia rozprawił się adwokat Andrejew mówiąc, że o antypaństwowym charakterze przemówienia decyduje nie to, w jakim się języku mówi, ale co się mówi. Choć Mackiewicz był rzadko skłonny do kompromisów, tym razem jednak stwierdził: Nie widzę w całej tej sprawie winy p. Głuchowskiego, skłaniam się również, aby jej nie widzieć ze strony p. Maliszewskiego, człowieka młodego, nauczyciela od roku i politycznie być może niewyrobnego, a najlepszymi chęciami przepojonego.

Mołodeczno, dworzec kolejowy, 1916
© Tomasz Wiśniewski
Fot. za www.szukamypolski.com

Mołodeczno, dworzec kolejowy, 1916

© Tomasz Wiśniewski

Fot. za www.szukamypolski.com

Przy okazji skandalu wynikłego z powodu niedotrzymania przez Powiatowy Komitet Wychowania Fizycznego i Przynasobienia Wojskowego obietnicy poszerzenia kanału w Landwarowie, co doprowadziło do obniżenia poziomu wody w dotychczasowym kanale i postępu w pracy młockarni, tartaków i młynów położonych wzdłuż kanału, pisał Mackiewicz wprost: To jest niedopuszczalny system, który zakorzenił się u nas właśnie jako system. Na imię ma lekceważenie. Lekceważenie grosza publicznego i lekceważenie praw indywidualnego obywatela. Z lekceważeniem takim przyszło się Mackiewiczowi spotkać jeszcze niejednokrotnie. Chociażby gdy opisywał perypetie chłopca Konstantego Pawłowskiego ze wsi Okmiany koło Trocka, który oskarżony został – bez żadnych widocznych powodów – o przemyt bydła z Litwy. Urzędnikom państwowym wydało się podejrzane, że miał on zdrowego, rasowego, pięknego byka; ich zdaniem byk ten był „za ładny”. U nas takich byków nie ma! – dowodzili oskarżyciele chłopca. Bezprawnie zabrano mu zwierzę i – jeszcze przed wydaniem wyroku sądowego – powołując się na odpowiednie paragrafy, sprzedano je na licytacji. W ramach tych hieroglifów – pisał dziennikarz „Słowa” – zamknięta jest norma życiowa naszego chłopca, o uszczęśliwieniu którego ciągle się mówi.

Kolejnym przykładem lekceważenia obywateli była dla Mackiewicza prowadzona na Kresach akcja osadnicza. Narzekał on, że zwozi się na Wileńszczyznę osadników z zachodniej części kraju, dla nich rezerwuje władzę, subsydia, ulgi, kredyty, zapomogi, odsuwając tym samym (i niejako prześladowając) autochtonów – i szlachtę, i chłopów. Osadnicy ci często trafiali do sądów za przestępstwa – kogoś okradali, coś defraudowali. Wpływało to na wzrost wzajemnej nieufności, podsycalo konflikty. Takie osadnictwo na Kresach posiadało zdaniem Mackiewicza same minusy. Szansę na wyjście z sytuacji widział on tylko w natychmiastowym działaniu: [należałoby] może wyłonić jakąś extra komisję, czy coś w tym rodzaju, do zbadania osadnictwa i oczyścić atmosferę na gwałt. Przede wszystkim wydobyć osadników spod wpływów politycznych mafii, siejby politycznych chwastów. Jakże inaczej spoglądał na ten sam problem Melchior Wańkowicz w cyklu swoich reportaży drukowanych w „Wiadomościach Literackich” – pt. „Siejemy w Polsce B”. Mackiewicz, polemizując z nim, dowodził, że – owszem – sieją, ale... chwasty.

Buntował się Mackiewicz przeciwko sprawom wielkim i małym, buntował się przeciwko wszystkiemu, co – w jego rozumieniu – było bezsensowne i szkodliwe. Kiedy starosta wileński powołał Spółkę wodną dla regulacji Wilenki, podniósł na łamach „Słowa” larum o to, że chce się zniszczyć jeden z najpiękniejszych rezerwatów naszych pejzaży. Oburzał się faktem, że najczęściej decyzje o sprawach Wilna i regionu podejmują ludzie z miastem tym niezwiązani. Wilenka jest piękna jak rusałka z baśni, silna jak młodość – pisał. – Można na niej stawiać młyny, fabryki, wykorzystywać jej potencję wodną, ale pływać po niej nie można było nigdy. Ani tratwą, ani łodzią, ani kajakiem nawet – dowodził w dalszej części artykułu. – I otóż nagle uznano tą naszą Wilenkę za rzekę pławną [...]. Rzeką w myśl odnośnych przepisów ma być uregulowana. Straci się pieniądze, a co zyska w zamian? Tylko zepsuje krajobraz. [...] straty nie tylko moralne, ale i materialne z oszpececia Wilenki nigdy nie wyrównają mglistych i nierealnych korzyści regulacji – przekonywał czytelników. Jednakże i w tej drobnej, z pozoru mało ważnej sprawie dostrzegał Mackiewicz o wiele większe i groźniejsze niebezpieczeństwo. Dał mu wyraz w następującym fragmencie: Natomiast obserwujemy u nas fatalną metodę rozplanowania pracy, opartą mniej na celowości,

a bardziej na szablonie z pominięciem specyficznych właściwości kraju, jego charakteru i naturalnych potrzeb. Ileż wspólnego ma ta „fatalna metoda” ze wspomnianym wcześniej „lekceważeniem”.

Zawsze i wszędzie manifestujący swe antykomunistyczne poglądy Mackiewicz pytał w jednym z artykułów: Kto u nas robi komunistów? I pośrednio odpowiadał: [...] działalność poszczególnych naszych organów administracyjnych [...] przez swą nieudolność, biurokrację, a często chyba złośliwość, stanowi źródło ogólnego przygnębienia, apatii i zniechęcenia. Stąd już niedaleka droga do zanegowania rzeczywistości i poddania się propagandzie komunistycznych agitatorów. Białoruski chłop, wyraźnie nastawiony antybolszewicko (nastrój ten opiera się, zdaniem Mackiewicza, na panujących w ZSRR głodzie i biedzie, wypadkach rozstrzeliwań i widmie kołchozów), nie jest przez polską władzę w poglądach tych utwierdzany. Przeciwnie, władza ta robi wszystko, by chłopą do siebie zniechęcić.

Jak bowiem wytłumaczyć wybudowanie w miejscowości Sarny na Polesiu (pod samą granicą sowiecką) pomnika wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego)? Wnieść go mieli „wdzięczni robotnicy”. Ale skąd? Ze Śląska? Nie bez ironii Mackiewicz komentował to następująco: Polityka na Kresach dąży do „konsolidacji” wszystkich żywiołów, do „zjednoczenia”, do „scementowania” wschodnich połaci kraju z „Macierzą”. Każdy cudzysłów miał tutaj swoje znaczenie. Oburzenie prasy z Polski zachodniej na „złośliwość” Mackiewicza, o którą go posądzano, skomentował dziennikarz krótko, publikując w „Słowie” siedem różnych zdjęć pomników wdzięczności dla wojewody Grażyńskiego, człowieka, który w żaden przecież sposób nie zasłużył się tej ziemi. Zabrał również Mackiewicz głos w dyskusji, jaka wybuchła po przeniesieniu przez biskupa Adama Sapiehę trumny marszałka Piłsudskiego z krypty św. Leonarda na miejsce pod wieżą Srebrnych Dzwonów. Dziennikarz nie zwykł wydawać pochopnych sądów i opinii, wybrał się więc specjalnie do Krakowa, aby zbadać sprawę. Po powrocie – stojąc w opozycji do większości publicystów w Polsce – napisał: Ze wszystkich krypt, które oglądałem, najgorzej przedstawia się Leonarda – najlepiej Srebrnych Dzwonów. Tym samym zgadzał się z decyzją biskupa Sapiehy, uznając za kłamstwa wszystkie doniesienia o znieważeniu czy też profanacji zwłok marszałka. Jak sądzę, ten obiektywizm poglądów nie mógł mu w tamtym czasie przysporzyć zwolenników wśród wyznawców komendanta, którzy zgodnie wystąpili z potępieniem biskupa.

Troszczył się jednak Mackiewicz nie tylko o los zwłok marszałka. Gdy sprowadzono do Polski z Leningradu w zaplombowanej trumnie ciało ostatniego polskiego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, publicysta „Słowa” udał się do Wołczyna – na miejsce jego pochówku. Rok później pojechał tam ponownie. Z oburzeniem skonstatował, że kościół, w którym znajduje się ciało, uległ dużemu zniszczeniu. Byliśmy [redakcja „Słowa”] przeciwni pozostawieniu szczątków Stanisława Augusta w Wołczynie. Uważaliśmy Wawel za miejsce bardziej odpowiadające jego randze historycznej – napisał, kryjąc w tych słowach duży żal.

W tych reportażach ujawniał Mackiewicz przede wszystkim konflikty społeczne Wileńszczyzny i Polesia. Polemizował ze stereotypowymi wyobrażeniami tzw. Kresów, zarazem chwalił piękno ich pejzażu, skromność i pracowitość zamieszkujących te ziemie ludzi. Opisywał sytuacje konfliktowe między ludnością a administracją państwową i policją. Śledził nonsensy organizacyjne i absurdy administracyjne. Drażniła go zawsze niechęć do mówienia głośno o sprawach drażliwych, trudnych. Nie godził się z ich przemilczaniem z obawy przed naruszeniem „interesu państwa”. Nigdy też nie wahał się przed ujawnieniem indolencji i głupoty władz. Przemawiał przy tym za każdym razem w imię nadrzędnego interesu Polski. Jego zdaniem to właśnie głupota, niesprawiedliwość, krzywda pojedynczych ludzi powodowana tępota urzędników szkodziły nade wszystko prestiżowi Rzeczypospolitej. Maria Zadencka ten okres twórczości Mackiewicza w przedmowie do krajowego wydania „Zwycięstwa prowokacji” scharakteryzowała następująco: Mackiewicz był nieustannie w drodze, opisy jego podróży obecne były niemal w każdym reportażu [...] trud reporterski pokonywania przestrzeni jednał czytelniczką sympatię. W reportażach objawiał się Mackiewicz jako wróg biurokracji. Tropił oszustwa urzędnicze, najrozmaitsze przejawy złego czy głupiego funkcjonowania instytucji, czy indolencji władz. Były kampanie, które wygrywał, więc wiele osób zwracało się do niego o pomoc, o obronę swych praw. Każdą sprawę, o której pisał, poznawał dokładnie, opisywał logicznie i chronologicznie. Z reguły okazywało się, że winna w danym wypadku jest instytucja, władza. Ludzie, których bronił, reprezentowali często niepisane prawa tych ziem, ignorowane, nierozumnie zwalczane przez nie znające miejscowych warunków władze.

Ruiny kościoła w Wołczynie
© Ирина Швец
Fot. za www.babinets.com

Ruiny kościoła w Wołczynie

© Ирина Швец

Fot. za www.babinets.com

Jak sam Mackiewicz obliczył, przeszedł i przejechał w samym tylko 1938 roku 26 132 kilometrów. Podróżował koleją (18 170 km), samolotem (4900 km), samochodem (2445 km), furmanką (334 km), statkiem po rzekach (268 km), nawet na nartach (15 km). Jeździłem okrągły rok, tędy, owędy – pisał. – Wychodząc z nagrzanego wagonu, przesiadałem się na sanie, czekałem cierpliwie, aż woźnica podepchnie burkę. Jechałem czasem po rozpalonym na słońcu kurzu, słuchając strzykania polnych koników, a bywało tak gorąco, że ptaki wołały spać w koronach drzew. Rok 1938 to jednak nie tylko ciągłe podróże, to także wytężona praca. W tym bowiem roku ukazała się nakładem „Słowa” reporterska książka Mackiewicza „Bunt rojstów”, dedykowana córce mojej Haluni, żeby poznała kraj rodzinny. Przyniosła ona dziennikarzowi spory sukces wśród czytelników i nagrodę „Wiadomości Literackich”. Wstępy do niej napisali Ferdynand Antoni Ossendowski i Ludwik Chomiński, co było dla autora sporym wyróżnieniem.

Maszynopis „Buntu rojstów” wysłał Mackiewicz Ossendowskiemu. Książka bardzo mu się spodobała i autor „Lenina” oraz słynny podróżnik odpisał listem, który znalazł się później w przedmowie. Nie widzieliśmy się nigdy i nie dzieliliśmy się swymi myślami, które przy bliższej znajomości stałyby się zapewne – dumami, pełnymi troski palącej i

jadowitej trwogi – pisał znany i niezwykle popularny w całym kraju autor powieści podróżniczych i przygodowych. – Każdy, najmniejszy reportaż, umieszczony w książce Pana, żywym echem odbił się w moim sercu i obudził w nim wspomnienia tego, co przejrzałem własnymi oczyma, co przeczyłem i przeniknąłem instynktem pisarza i podróżnika, przemierzając rojsty, hała, puszcze, wąwozy, wierchy górskie, jary i bezkresną równinę naszych kresów [...]. Bunt rojstów stanie się niezmiernie ważnym i pouczającym dokumentem historycznym wartości pierwszorzędnej. Trafił Ossendowski w sedno pisząc dalej: Prawdziwą zasługą Pana jest śmiało odsłonięcie rzetelnej prawdy o naszych kresach, gorące serce autora, łomocące szybkim tętnem współczucie i miłość dla ludzi, zapomnianych przez wszystkich oprócz sekwestratora i rzutkich przedstawicieli radosnej twórczości, co to wołają wpisać do księgi bierczej trzy złote podatku, zabrać sielawy rybakom, wspaniałomyślnie pozwalając im sądzić się ze Skarbem Państwa, czy z jakąś tam potężną Dyрекcją. [...] Tak, Bunt rojstów jest książką buntowniczą, bo z każdej strony jej krwią serca bije pod szare, posępne niebiosy tej piaszczystej i hriaznoj ziemi wołanie namiętne: – To tylko państwo jest godne posiadać własne prawa, w którym każdy obywatel tego swego prawa broni.

Ludwik Chomiński pisał natomiast i ostrzegał: Tego buntu [rojstów], a raczej przygrywki do niego, będziemy świadkami, jeśli przeczytamy wnikliwe karty tej, dla wielu rewelacyjnej, książki. [...] Otwórzmy oczy na tę rzeczywistą rzeczywistość, w której niedostrzegalnie dla p.t. opinii publicznej żyją doły szerokiej połaci naszego państwa, i posłuchajmy jak tę rzeczywistość podchwytuje autor na gorącym uczynku w momentach rodzących się odgłosów burzy. – Zdławmy w sobie wstyd przy czytaniu pewnych ustępów, wstyd za niektóre poczynania, bo jako Polacy nie możemy się nie czuć współwinni – i bądźmy wdzięczni za ostrzeżenie, bijące z poniższych stronic, za bicia na twogę nawet tam, gdzie zda się toń jeszcze spokojna i grunt pewny pod nogami, a ledwie czuć początek podziemnego drżenia... – Kto umie myśleć i wnioski wyciągać – z przerażeniem przerzuci te karty i nie zazna spokojnego snu, nim ręki nie przyłoży do odwrócenia niebezpieczeństwa, wywołanego może nie złą wolą, a przez bezmyślność i nieznamość rzeczy. To słowa jednego z przyjaciół Mackiewicza, dla którego „idea krajowości” także była wciąż żywa i bliska sercu.

„Bunt rojstów” to jedenaście reportaży, z których prawie wszystkie drukowane były wcześniej w „Słowie”. Na potrzeby książki zostały one przeredagowane, połączone tematycznie w większe całości; nadał im Mackiewicz ten ostateczny, pisarski kształt i szlif. Mamy tu więc historię buntu rybaków naroczańskich („Bunt Narocza”), opis polowań dygnitarzy w Puszczy Rudnickiej („Dygnitarz i łosie”) i skandalu związanego z budową portu w Drui („Podróż na północ”), opis Polesia po ogromnym pożarze błot, który miał miejsce 21-23 listopada 1935 roku („Wpływ przez Polesie”), historię konfliktu w wołożyńskiej szkole („Rynsztok i szkoła w Wołożynie”) i „odkrycia” wsi Mitrycze („Przez błotną pustynię wiedzie droga do rajy”). Nie zabrakło krytyki owej, wspomnianej przez Ossendowskiego, „radosnej twórczości” na temat Kresów („Droga ich powrotu”) ani rozważań Mackiewicza o stosunkach między ludnością żydowską a

białoruskimi chłopami („A Szwarce Bor”). Opisał też nadużycia władzy w Jeziorach („Miasteczko”). Te reportaże niewiele różniły się od swoich pierwodruków w „Słowie”.

Znacznie natomiast poszerzony został problem sekciarstwa na Kresach. W reportażu zatytułowanym „Błędne ogniki” Mackiewicz zastanawiał się nad zjawiskiem odchodzenia tutejszej ludności od prawosławia i przechodzenia do baptystów, zielonoświątkowców i najróżniejszych sekt. Ruch sekciarski – pisał – znalazł szerokie pole rozwoju, właśnie na podłożu materialnej nędzy, przeciwstawiając jej głębię duchową. Być może jest w nim trochę mistycznej reakcji na bliskość bezbożnej granicy sowieckiej. Nie ma się jednak czego obawiać, uważał. Chłopi naszych wschodnich powiatów odwrócili się ideologicznie od komunizmu, odkąd kołchozy rozwiały resztki iluzji. By jednak nie popadać w nadmierny zachwyt, dodawał: Ale tam źle i tu źle. Mimo to w sekciarstwie dostrzegał więcej dobra aniżeli zła. [...] każdy członek sekty poszczególnie jest zjawiskiem bezwzględnie dodatnim – dowodził – jako jednostka uczciwa i przeciwstawiająca bezbożnej agitacji bolszewickiej na granicy pełnię niespożytej energii religijnej i etyki życiowej.

W innym reportażu – „Malkontent i defetysta” – opisał Mackiewicz swoją wizytę u człowieka, którego urzędnicy państwowi uznali za takiego właśnie „szkodliwego typu”. Po rozmowie z nim autor doszedł do wniosku, że jest on „malkontentem i defetystą”, gdyż: występuje w obronie praw samorządu, nie idzie w pochodzie Święta Morza, nie podpisuje depeesz gratulacyjnych z powiatu, nie głósuje za każdym postulatem starosty, nie jest prezesem ani sekretarzem i nie należy do żadnych organizacji. Jest za to wzorcowym gospodarzem, wspominającym czasami stare, carskie czasy, gdy było „rozsądniej” niż teraz. Nie trzeba chyba dodawać, że zdobył on sporą sympatię reportażysty „Słowa”, uosabiając sobą postać skromnego a pracowitego człowieka „tutejszego”, który nie tracił cennego czasu na przynależność i „działalność” w fikcyjnych organizacjach społecznych tylko po to, aby przypodobać się władzy.

Jerzy Malewski o „Buncie rojstów” napisał: [w książce tej] Mackiewicz charakteryzował społeczną specyfikę ziem byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Obok sugestywnych opisów przyrody Wileńszczyzny i Polesia przedstawił przede wszystkim konflikty polityczne, religijne i ekonomiczne na tych terenach. Wyraźnym tonem książki było wyczulenie autora na krzywdę i niesprawiedliwość spotykającą tutejszych ze strony – najczęściej niekompetentnej – administracji państwowej. Mackiewicz prezentował wschodnie tereny II Rzeczypospolitej jako ziemię nieznaną, obszar legendarny, ale znajdujący się poza wyobraźnią cywilizacyjną Polaków z dawnej Kongresówki [...]. Taki stosunek do terenów byłego W. X. L. Mackiewicz uważał za poważny błąd rządów warszawskich, toteż w jego książce jawnie dostrzeżono nie tylko egzotyczny reportaż, lecz także pośrednią krytykę polityki wschodniej rządu II Rzeczypospolitej. Uwagi te można odnieść do całej twórczości reporterskiej Mackiewicza. Twórczości, którą Malewski scharakteryzował następująco: [...] to laboratorium małych form literackich. Pokaz fantastycznego słuchu językowego, doskonałych dialogów, scenek rodzajowych i mikrobiografii całej galerii typów ludzkich. Nie byłoby zapewne pisarza Józefa Mackiewicza, gdyby nie te lata reportażowania i poznawania odległych zakątków II Rzeczypospolitej. W tych reportażach zatem, broniących praw pojedynczych ludzi i całych grup, walczących z głupotą i

zakłamanie, rodził się Mackiewicz-powieściopisarz, jeden z najwybitniejszych polskich epików naszego wieku.